



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

F I L M

WARSZAWA, ul. Puławska 61

wydanie **BENIOWSKI**

17 25-04-1971

Nr z. dñ.

zapiski krytyczne

● STARZEJĄCY SIĘ JOHN WAYNE ● BENIOWSKI I OL-
BRYCHSKI ● SUITY MONTAŻOWE HANUSZKIEWICZA

218

SOBOTA

Nudnawy wieczór na westernie „Chisum” Andrewa V. McLaglena. Chisum to nazwisko głównego bohatera, którego gra John Wayne.

Do pewnego miasteczka, gdzie króluje dobry i dzielny właściciel wielkich stad, Chisum właśnie, przybywa bogaty bezwzględny businessman i miasteczko oraz rozległe ziemie wokół niego stara się różnymi nieczystymi sposobami zagarnąć dla siebie. Rozpoczyna się walka na śmierć i życie z naszym Chisumem.

Film nie byłby godny uwagi, gdyby nie Wayne. Ale Wayne tym razem żaloszny. Nie wiem, czy nosi perukę, natomiast wszelkimi sposobami stara się tuszować otyłość, co robi męczące wrażenie. Poza tym reżyser uznał widocznie, że Wayne'owi jest wciąż jeszcze dobrze w chłopięcych ubraniach, chętnie go stroi w chusteczki na szyję i zamsze, a to nieprzyjemnie kontrastuje z niemłodą twarzą aktora. W ogóle jesteśmy świadkami czegoś, co nazwałbym pobielaniem grobu.

W stosunku do większości starzejących się aktorów, byłych amantów, kino używa podobnych sposobów. Zastania im łysiny, krępuje brzuchy, ubiera za młodo, przez co wyglądają starzej, otacza kobietami, które albo się w nich kochają, albo kochają ich wprawdzie miłością rodzinną, lecz cokolwiek podejrzaną. Tak było z Charlesem Boyer, Maurice'em Chevalier, z Gary Cooperem, który jednak zachował godność. Tak jest obecnie z Waynem. W pewnym momencie urządza on sobie z innym starszym panem — owym konkurentem — bijatykę i obaj wyglądają jak capy, co starły się w ostatnim starczym pojedynku.

NIEDZIELA

Znów wieczór w teatrze Hanuszkiewicza. Tym razem jednak prawie nie mam pretekstu, żeby o nim pisać. „Beniowski” w Teatrze Narodowym jest bardzo sceniczny. Na szczęście, wciąż szargający świętości tradycyjnych sztuk.

Nie mówię już o ciągłym ruchu sceny. Nie tylko o jej obrotach, ale wznoszeniu się i opadaniu kulis, owego przepięknego pasa słuckiego rozciągniętego jak baldachim nad sceną, czy o zjeżdżaniu oświetleniowego pomostu ze świętym Piotrem w środku. Mówię także o przezroczach rzutowanych na kulisy, drzeworytach czy miedziorytach przedstawiających ukraińskie stepy, rodzinne strony Słowackiego.

W „Beniowskim” Hanuszkiewicz część strof włożył w usta narratora, którego sam gra, resztę w usta występujących postaci. Wprowadził też fragmenty „Ksiedza Marka”, „Zawiszy Czarnego”, „Poemy Piasta Dantyszka”, „Marii Stuart”, listów poety, nawet fragment „Czarnych kwiatów” Norwida.

Beniowski jest Olbrychski. Obawiam się, że ten aktor jest już nazbyt eksploatowany w filmie, teatrze, że zacznie się powtarzać, nie mając po prostu czasu na ochłonięcie z jednej roli przed drugą. Tu jeszcze się obronił.

Jego Beniowski to postać chwilami groteskowa, chwilami — raz bodaj — dramatyczna, ale przede wszystkim ten Beniowski jest ciągiem metamorfoz (Beniowski i „Beniowski”) — postaci, sytuacji, wielu zagrań w jednym przedstawieniu.

SRODA

Francuzi w ostatnich latach sporo uwagi w krytyce poświęcają pojęciu „récit”. „Récit” to dosłownie „opowiadanie”, ale oni tego słowa używają w sensie wywodu fabularnego, przebiegu wydarzeń, relacji z wydarzeń (fizycznych czy duchowych), przebiegu wydarzeń w czasie. Pojęcie „récit” stosuje się do literatury czy filmu, które ponoć są sztukami przede wszystkim czasowymi, nie teatru, który ma być w owym porządku sztuką przestrzenną, statyczną, sztuką statycznych obrazów.

Nie wdając się w tej chwili w to, czy słuszne jest takowe rozróżnienie, chciałoby się powiedzieć, że w swoim „Beniowskim”, o którym pisałem w niedzielę, Hanuszkiewicz wprowadza na scenę właśnie „récit”. Reżyser i zespół starają się, by ich teatr naśladował płynność, zmienność, kapryśność wiersza poety. Przedstawienie, zwłaszcza w części pierwszej, jest prowadzone w niewiarygodnym tempie, zbudowane zostało na zasadzie suit montażowych, gdzie nie tylko montuje się ze sobą krótkie ujęcia, ale postacie i ich kwestie nawet w jednym ujęciu. Narrator, aktorzy (w wielu planach: jest więc też rodzaj „głębi ostrości”), scena i kulisy — przerywają się wierszami, mieszają się role i mnożą (samego Słowackiego gra w pewnej chwili aż sześciu aktorów naraz), obrazy płyną jak w kalejdoskopie, stają się samą płynnością jak literacki tekst.

Pomijając formalne zalety przedstawienia, Hanuszkiewicz zrobił jeszcze jedną rzecz ważną, może najważniejszą: pokazać, że nasza poezja romantyczna potrafiła być lekka, pełna dowcipu, aforystyczna, mądrą mądrością nie celebrowana, inteligentną najpiękniejszą inteligencją, która jest bystrością. Właściwie taką rolę wobec literatury przeszłości winien pełnić nasz film, sztuka młoda i „podkasana”. Tymczasem teatr Hanuszkiewicza bije go od lat. Telewizję też. Chyba że Hanuszkiewicz robi ją sam.

ALEKSANDER JACKIEWICZ